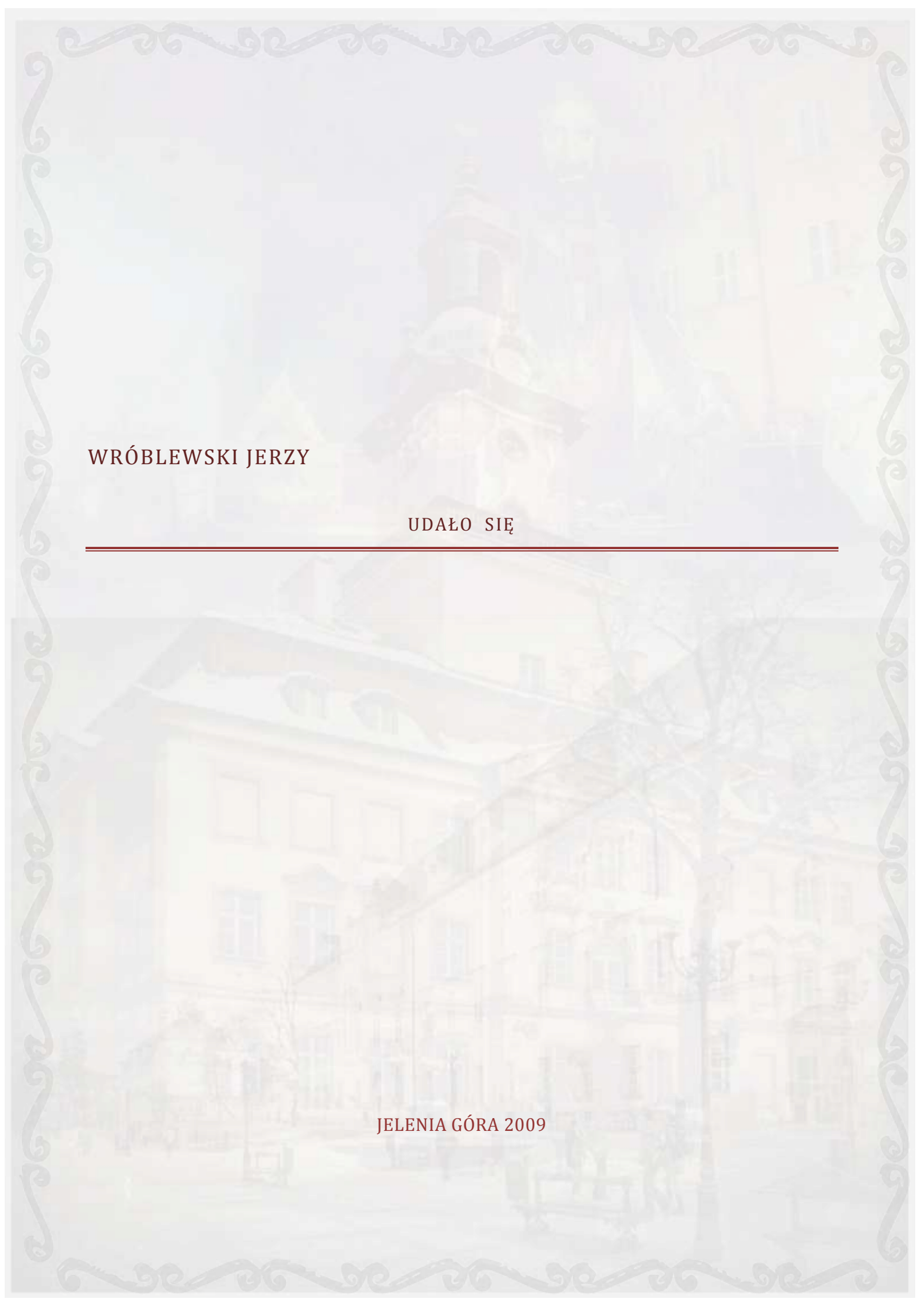




WRÓBLEWSKI JERZY

UDAŁO SIĘ

JELENIA GÓRA 2009

Jeżeli mam wspominać moje życie na Ziemi Jeleniogórskiej powiem najpierw, kim jestem, co przeżyłem, co widziałem, z jakim bagażem wiedzy i doświadczeń, znalazłem się tutaj, z jakimi oczekiwaniami od życia przyszło mi żyć dalej.

„A jednak wojna!”

Taka hiobowa wieść z ust spikera Polskiego Radia Tadeusza Bocheńskiego popłynęła w eter w dniu 1.Września 1939 roku. To były jego pierwsze trzy słowa, a następnie dalsze, które brzmiały:

„Dzisiaj rano o godzinie 4.45 Niemcy Hitlerowskie napadły na Polskę bez wypowiedzenia wojny.”

Wojna! Wojna! Rozlegało się jak grzmot błyskawicy i rozprzestrzeniało się po całej Polsce, a zaraz potem, Uciekać! Uciekać.

Obawy jednych, przewidywania drugich, stały się faktem.

Gdzie? Dokąd? Zadawali pytanie jedni.

Na wschód! Na wschód! Odpowiadali inni.

Wschód, to szerokie pojęcie, do kogo, do jakiego miasta, gdzie?

Powstała totalna panika, totalne kłębownisko różnych myśli, różnych twierdzeń, różnych racji.

Najlepiej zrobili ci, którzy nie ruszali się z miejsca, pozostali w swoich domach, w swoich mieszkaniach. Oni nie musieli uciekać, nie chcieli uciekać, nie chcieli zostawiać swojego dobytku na pastwę losu. Twierdzili, co ma być, to i tak będzie, a jeżeli już mamy zginąć, to zginiemy tutaj, na własnych śmieciach, a nie gdzieś w nieznanym.

A co to jest wojna? Pytałem mamy.

- Nie zwracaj mi teraz głowy, lepiej wyciągnij z komórki wózek dziecka, zobacz czy będzie.

- Nim jeszcze można jechać i szykuj się do drogi - usłyszałem w odpowiedzi mamy.

No, bo skąd ja mogłem o takich rzeczach jak wojna coś wiedzieć, skoro w domu o takim czymś nigdy nic się nie mówiło, a nawet w zabawach z dziećmi na podwórku nie bawiliśmy się w takie coś jak wojna, tylko zawsze były to zabawy natury pokojowej.

Ojca w domu nie było już od kilku dni, nie było wiadomo, co się z nim dzieje, a tu trzeba podjąć natychmiastową decyzję. Więc tę decyzję podjęła mama.

Zaczęło się pakowanie. Ale co tu było pakować, chyba jedynie poduszkę wyciągniętą z łóżka, na którą położy się dziecko, jakieś parę szmatek no i resztki jedzenia, jakie znajdowały się jeszcze na kuchni. Więcej nie było nic. Przecież łóżka i pierzyny do takiego wózka nie da się włożyć, chyba, że jeszcze ze dwa garnki i ze dwie łyżki, bo może w drodze przyjdzie coś ugotować. Więcej nie było w domu nic.

Następnego dnia raniutko wyruszyliśmy. Najpierw do Tarnowa, a stąd w kierunku wschodnim do Dębicy. Zamiarem mamy było dotrzeć aż do Lwowa, bo tam miała swoich krewnych, ale to była przecież utopia. Po paru dniach tułania się po drogach, rowach i lasach, zebrząc po drodze trochę jedzenia dotarliśmy pod Dębicę. Dalej już nie było, co się męczyć, bo w Dębicy już byli Niemcy.

Trzeba było wracać. Ta sama droga, te same miejsca postoju i jeszcze większa zebranina. W końcu dotarliśmy na rozległe błonie, na którym w tych nędznych czasach przed wojną, zbierałem zeschnięte krowie łajno, którym paliło się pod kuchnią. Zatrzymaliśmy się w dość rozległym, jednoizbowym budynku, który służył pastuchom za schronienie, gdy wypasali na błoniach swoje krowy i trzodę. Przespaliśmy tylko jedną noc, jeżeli to w ogóle można była nazwać spaniem, więcej się nie dało. Dziesiątki tysięcy pluskiew, jakie zalegały w tej budzie, uniemożliwiały choćby na zmrużenie oka, a co dopiero spanie, a do tego jeszcze te wszy, o których do tej pory w ogóle nie wspominałem, a które gościły w naszych ubraniach, w naszych głowach, ale do tego byliśmy już przyzwyczajeni. Przed południem przyjechało kilku Niemców na motorach i zatrzymali się w pewnej odległości od tej zapluskwionej budy i zaczęli krzyczeć Alles raus! Alles raus! Nikt nie rozumiał, o co tym Niemcom chodzi, co znaczą wykrzykiwane przez nich słowa, stali w osłupieniu zdeorientowani, ale gdy któryś z Niemców zaczął lufą swojego pistoletu maszynowego poszturchiwać po żebrach opieszających, dopiero wtedy polecenia ich były spełniane w oczekiwany sposób. Gdy już wszyscy, którzy koczowali w tej budzie, a było tego kilkanaście osób, wyszli na zewnątrz

i oddalili się na określoną przez Niemców odległość, wtedy jeden z Niemców wyjął z przyczepy motoru takie coś, podszedł bliżej do opuszczonej już budy i z tego coś buchnął wielki jęzor ognia, który ogarnął cały dach skazanej na zagładę zapluskwionej, chwilowej przystani dla wędrownych uciekinierów.

Niemcy zrobili swoje i odjechali, a z zapluskwionej budy po godzinie została tylko kupa popiołu.

A ja stałem i patrzyłem na to, co przed godziną jeszcze było jakimś domem, jakimś schronieniem, jakimś miejscem, w którym ten czy inny pastuch mógł się schronić przed deszczem, przed zimnem i wiatrem, zjeść jakąś kromkę chleba, pogawędzić z kolegami. Myślałem gdzie oni teraz będą mogli się schronić w razie potrzeby, gdzie choćby przez chwilę odpocząć podczas ustawicznego uganiania się za bydłem. Myślałem o nich, o pastuchach, że dlaczego ci Niemcy spalili to ich schronienie i dlaczego, i dlaczego. Przecież to chyba, dlatego, że jest wojna, pomyślałem, że ta wojna na tym polega, żeby wszystko palić niszczyć, i zacząłem sam sobie odpowiadać na wcześniej zadane mamie pytanie, co to jest wojna. No, ale to, czego w tych paru dniach doznałem, było zaledwie kroplą w morzu tego, co miało mnie w dalszym ciągu spotkać, co miałem doświadczać na własnej skórze. W głowie zaczęły powstawać różne refleksje z jakże krótkiego, dziecięcego życia. W tym momencie mama przerwała mi moje rozmyślenia i wyruszyliśmy tam skąd kilkanaście dni temu wyszliśmy w tą bezsensowną tułaczkę. Weszliśmy do naszego mieszkania i pierwszym, co trzeba było zrobić, to, chociaż się trochę umyć. Przecież przez ten cały czas tułaczki nie było żadnych możliwości choćby jakiegokolwiek umycia się. O bieliźnie i ubraniu już tutaj nie będę nic mówił. Po jako takim umyciu się na golasa wszedłem pod pierzynę i teraz zacząłem rozmyślać, snuć tych parę refleksji dotychczasowego, mojego, króciuteńkiego życia.

Zdawałoby się, że tak dobrze się zaczęło. Ojciec, zdrowy, młody mężczyzna, co prawda bez wykształcenia, ale dobrze zarabiający robotnik fizyczny w nowo powstałych Zakładach Azotowych w Mościcach koło Tarnowa, wziął ślub z młodszą od siebie o siedem lat, bo szesnastoletnią, też zdrową i też bez specjalnego wykształcenia dziewczyną, ale za to córką bogatego rzemieślnika kupca hen z kresów wschodnich. Posag wniesiony przez matkę zapewniał przyzwoity start w nowe życie powstającej rodzinie. Jedynym minusem, a może nie jedynym, było to, że zarówno dla ojca, jak i matki, środowisko, w którym przyszło im żyć, było dla nich zupełnie obce. Inna kultura, inna mentalność, inne przyzwyczajenia, inne wartości

życiowe. Te cechy społeczne, jak się okazało, były zasadniczą przeszkodą dla młodej pary do zasymilowania się w tym morzu zawistnych spojrzeń, zawistnych uwag i z ukosa patrzących sąsiadów i otoczenia. A do tego poziom życia, jaki przedstawiali swoim ubiorem, swoim zachowaniem, wyposażeniem swojego mieszkania i, dzisiaj nazwalibyśmy to szpanowaniem, nie przysparzał im oznak przyjaźni. Drugim minusem moich rodziców były ich charaktery.

Ojciec - hazardzista, choleryk, nerwus i brutal. Był niewyobrażalnym egoistą, był nieodpowiedzialny, nieobliczalny i nieprzewidywalny, a do tego jeszcze, był strasznym tchórzem.

U matki - lenistwo, niewyobrażalne lenistwo, beztroska i nieodpowiedzialność.

Oboje palili papierosy i matka, chociaż taka młoda, wcale nie ustępowała w ilości spalanych papierosów ojcu. W mieszkaniu wynajmowanym w czterorodzinnym domu kłębiły się obłoki papierosowego dymu.

Wtedy, tam w Mościcach, nie było żadnych instalacji wodnych, kanalizacyjnych, elektrycznych czy też innych jeszcze. Studnia na podwórku, wychodek koło płotu, ścieki do rowów, oświetlenie lampą naftową. I to wszystko.

W takich warunkach przyszło mi się urodzić, a był to grudzień 1931 roku.

W roku 1934 rodzice przystąpili do budowy własnego domu, oczywiście za pieniądze ojca matki.

Miał to być okazały dom, sześć pokoi i kuchnia. Miał być, ale nie był. Jednak w roku 1936 przeprowadziliśmy się do NASZEGO DOMU, a prawdę mówiąc do wykończonej kuchni i jednego pokoju, reszta była w tak zwanym stanie surowym zamkniętym. W międzyczasie urodziła się moja pierwsza siostra. Lata wczesnego dzieciństwa spędzałem wokół domu, penetrując wszelkie zakamarki różnorodnego terenu – a to lasu zwanego Buczyną, a to różnych zarośli i krzaków, a to sąsiednich podwórek, bądź wojskowego cmentarza z czasów pierwszej wojny światowej. Ten okres był apogeum świetności mojej rodziny.

Teraz zaczęły się wyłaniać osobiste cechy charakterów moich rodziców. Ojciec zaczął grać w karty, matka w totalny sposób zaniedbywać swoje obowiązki żony, gospodyni i matki. Zaczęło się piekło. Niepowodzenia ojca w karcianym procederze, zaniedbany dom, były

przyczyną, że ojciec wpadał w furję i bił. Bił przede wszystkim matkę, następny w kolejce byłem ja. Bił otwartą dłonią, bił też tym, co miał w ręce. Bił gdzie popadło, ale najczęściej po głowie i twarzy. Bił codziennie, chyba, że sesje karciane trwały dłużej niż jeden dzień. Zdarzało się, że karciani towarzysze dali czasem wygrać ojcu jakieś nic nieznaczące kwoty, to wtedy bicie było mniejszego kalibru, ale to było bardzo rzadko. Przegrywał wszystko, pieniądze, jakie matka dostawała od swojego ojca, pieniądze na budowę domu, elementy wyposażenia domu i materiały zgromadzone do budowy domu. Już nie było, co więcej przegrywać, zostało tylko jedno łóżko, stary stół, parę garnków, misek i sztućców i dwa wiadra, jedno na wodę czystą, drugie na wodę brudną, siki i kupy. Łachy wisiały na gwoździach wbitych w drzwi wejściowe. W końcu na karciany stół ojciec postawił NASZ DOM. Przegrał. Nie pomogły żadne prośby, błagania, lamenty i płacz, gracze byli nieugięci. Szybko zadbali o to, żeby sporządzić akt notarialny kupna sprzedaży, który podpisać musiała też i mama. Widmo nędzy stanęło przed oczami wszystkich. Dziadek wstrzymał całkowicie dotowanie swojej córki, a pieniądze zarabiane przez ojca w Azotach były teraz o wiele mniejsze od tych, które zarabiał w tamtych czasach. Tak minęły lata świetności tak dobrze zapowiadającej się rodziny. Trzeba było opuścić przegrany dom i zamieszkać w wynajętym jednym pomieszczeniu, które stanowiło i kuchnię, i pokój, i sypialnię, gdzie właśnie teraz leżałem i snułem dziecięce rozmyślenia o minionej świetności moich rodziców, o dziecięcych marzeniach, o tym, kim będę jak dorosnę i wiele jeszcze innych. W końcu usnąłem i spałem do wieczora. Gdy ja spałem mama użebrała po sąsiadkach trochę jakiegoś jedzenia i zjedliśmy to razem we trójkę. Po śniadaniu-obiado-kolacji cała trójka weszła pod pierzynę i spać. Ja dalej wspominałem tamte, i te dobre, i te złe, przedwojenne czasy. Właśnie to wtedy, kiedy był ich początek mama zaszła w ciążę. Druga moja siostra przyszła na świat w kwietniu 1938 roku. Życie stało się koszmarem, wszy, nędza, głód i smród, a do tego jeszcze te bicia ojca. Bił za najmniejsze uchybienia, bił do nieprzytomności. Bił mamę i mnie, najmłodszej siostry nie bił, bo to była jego perełka, zresztą było to jeszcze niemowlę. I tak to trwało do lata 1939 roku. W lipcu tegoż roku moja starsza siostra popełniła jakieś drobne przewinienie w zabawie z podwórkową koleżanką. Na oczach skarżącej się matki tej koleżanki, ojciec chwycił obiema rękami siostrę za sukienkę, uniósł do góry i z całej siły uderzył o podłogę. Siostra przestała oddychać. Wszyscy zamarli z przerażenia. Ale po jakimś czasie i różnych zabiegach czynionych przez matkę i inne sąsiadki siostra zaczęła oddychać i powracać do normalności. A ojciec? Jak gdyby nigdy nic, wyszedł z mieszkania i wrócił dopiero późnym wieczorem.

Takie były metody wychowawcze mojego ojca w stosunku do dzieci, w stosunku do żony. Po tym wydarzeniu siostra wyjechała do dziadków na kresy. Popłakałem się i ze łzami w oczach wreszcie usnąłem. Nie spałem długo, w dalszym ciągu rozmyślałem o tamtych dniach, w których coraz częściej i głośniejsze zaczęto mówić o nadchodzącej wojnie, ale upalne lato i solenne zapewnienia rządu, że nigdy nie oddamy nawet guzika, że Polacy mają swój honor i będą bronić swojej ojczyzny do ostatniej kropli krwi, płynącej na falach eteru, nie za bardzo chciały docierać do umysłów narodu. I co? Co innego mówili, a co innego parę godzin temu widziałem. Wszystko było inne, ale tych inności przede mną było całe multum, to był dopiero początek.

Wróciliśmy do starych pieleszy, do jeszcze bardziej skrajnej nędzy, do skrajnej beznadziejności. Po paru dniach zjawił się ojciec, a wraz z nim wróciło bicie. W tym czasie Niemcy przystąpili do przebudowy istniejącego, zniszczonego i za słabego jak na ich potrzeby mostu na rzece Białej. Za rzeką zaczynał się Tarnów. Otrzymał odpowiednie papiery i na jakiś czas czuł się bezpieczny. Zarabiał niewielkie pieniądze, które wystarczały na jeden posiłek dziennie, a ja zacząłem sprzedawać papierosy. [Wtedy zacząłem palić i palę do dziś]. Do szkoły chodziłem tylko w te dni, kiedy padał deszcz, bo wtedy nie zamakały mi papierosy, które upychałem po kieszeniach swoich lichych porciąt. Mama siedziała w domu z Perełką ojca. Po skończeniu budowy mostu przenieśli ojca do Tarnowa na inną budowę. I tam też były grosze. Wiosną skończyły się roboty dla ojca i został bezrobotny, a bał się strasznie, żeby go nie wywieźli na przymusowe roboty do Niemiec. W tym czasie ja miałem przystąpić do pierwszej komunii świętej. Przyszła sobota spowiedzi, do której poszedłem po uprzednim otrzymaniu rozgrzeszenia. Na klęczkach musiałem przeprosić oboje rodziców za wszystkie grzechy, jakich się do tej pory dopuściłem, przyrzec, że więcej ich nie będę robił i dopiero mogłem ucałować obie ręce obojga rodziców. Teraz dopiero dostałem rozgrzeszenie i mogłem iść do spowiedzi. Gdy wróciłem z kościoła zapytałem:

- A w czym ja jutro pójść do komunii?

- Pójdiesz w tym, co masz, teraz jest wojna i nie ma pieniędzy na to, żeby urządzać jakieś rewie mody dla takich smarkaczy jak Ty, odpowiedział ojciec.

Zrobiło mi bardzo przykro, że usłyszałem taką odpowiedź. Ale nie mam nawet świecy ze wstążką, już nieśmiało postawiłem swoje żądania.

- To niech mama idzie do Tarnowa i kupi - odpowiedział ojciec.

I mama poszła. Do wieczora nie wróciła.

Rano, już pora wychodzić do kościoła, a mamy nie ma. W tej sytuacji ojciec poszedł do sąsiadów i przyniósł kawałek nadpalonej świecy. Usiadł na brzegu łóżka wyciągnął z niego szare z brudu prześcieradło i oddał z niego potrzebną do świecy obstrzępioną wstążkę, którą przewiązał na ogryzku świecy i wręczając mi ją, powiedział:

- Teraz już możesz iść.

Poszedłem, po drodze spotykałem kolegów, koleżanki, którzy kroczyli dumnie ze swoimi rodzicami trzymając w ręce, chłopcy ładne duże świece z bieluteńkimi wstążkami, a dziewczęta małe bukietki kwiatów. Chłopcy ubrani byli w granatowe ubrania, w białych pończochach i czarnych półbutach, dziewczęta, w białe długie sukienki, a na głowie miały kwiatowe wianki.

A ja, tak jakbym prosto z podwórka oderwał się od dziecięcych zabaw i wprost dołączył do tego orszaku. W kościele, gdy już przyszła pora udzielania komunii i trzeba było podejść do balasek, to tam gdzie ja stanąłem, z lewej i prawej strony zrobiły się luki, bo żadne z dzieci nie chciało stać przy mnie. A przecież wszyscy mnie znali, i dzieci i ich rodzice, ale ja teraz byłem dziadem. Do dzisiaj to słowo jest wielce upokarzające w tamtym terenie. Do zbiorowego zdjęcia, też mnie nikt nie zaprosił, no, bo jakże taki śmierzający oberwaniec mógł znaleźć się wśród takiego towarzystwa. Jakże mi wtedy było przykro. Ale kogo to mogło obchodzić. Wracając z kościoła przechodziłem koło dawnego NASZEGO DOMU, przystanąłem i patrzyłem na ten NASZ DOM i nie mogłem zrozumieć, dlaczego on już nie jest nasz, tylko stoi teraz pusty, nikt w nim nie mieszka, a my musimy mieszkać w takich ciężkich warunkach. Nie mogłem zrozumieć, jak można przegrać dom, owszem, można przegrać guziki, można przegrać haciele, ale żeby przegrać cały dom i podwórko i studnię i komórki, tego nie mogłem w ogóle zrozumieć. Stałem i patrzyłem Nagle z oczu popłynęły mi łzy. Potrzęsnałem głową i poszedłem do tamtego domu.

Gdy wszedłem do pokoju zobaczyłem, że ojciec siedzi na łóżku i bawi się ze swoją Perełką, a obok leży mama i straszliwie płacze, a na stole leży prawdziwa, komunijna świeca przewiązana białą wstążką. Okazało się, że pół godziny po moim wyjściu do kościoła przyszła

mama i była wielce zdziwiona, że ja już poszedłem do kościoła. Ojciec nie słuchał więcej żadnych wyjaśnień mamy, tylko sprawił jej straszliwe lanie. Teraz wiedziałem wszystko, dlaczego mama leży na łóżku i płacze. W tydzień po tym wydarzeniu ojciec poszedł do Arbeitsamtu i oświadczył, że na ochotnika chce jechać do pracy do Niemiec. A bardzo chętnie, pomyślał zapewne niemiecki urzędnik i za dwa dni ojca już nie było. Pożegnał się ze swoją Perełką, przykazując mnie, że mam się nią opiekować, i żeby jej nie stała żadna krzywda, żeby nie była głodna i jeszcze inne przykazania. Za które miałem ponosić pełną odpowiedzialność. Zabrał swój uniwersalny plecak z nierozłączną kasetką z przyborami do golenia i wyszedł nie powiedziawszy nawet do widzenia. Związał jak tchórz, bo bał się przyjąć na siebie jakąkolwiek odpowiedzialność za rodzinę za dzieci za dom, za wszystko. Tak samo było tuż przed samą wojną, kiedy się ulotnił na kilkanaście dni, obawiając się, że go powołają do wojska i pójdzie na wojnę. Ale wobec słabszych, a jakże, on tu jest sędzią on tu jest katem, bo to, co wyczyniał mój ojciec, było po prostu katowaniem, a on był normalnym tchórzem. Byłbym dumny z tego, gdyby mój ojciec zginął na wojnie, zginął, jako żołnierz, a tak do dzisiaj noszę w sobie wielki wstyd za tchórzostwo mojego ojca.

A czyż nie jest to egoizm, gdy w tej wielkiej biedzie, posyła mnie do sklepu po 2 [dwa] dkg. masła i dwa jajka, robi sobie jajecznicę i zjada ją sam nie dzieląc się z nikim, nawet ze swoją ukochaną Perełką, która stała i patrzyła przełykając tylko ślinę? Nie mówiąc już o mnie. Wyżywienie dzieci należało do mamy. Kiedyś wcześniej, kiedy też stałem i patrzyłem jak ojciec jadł i przełykał ślinę, to wtedy zapytał mnie, kto mi daje jeść? Odpowiedziałem, że mama. Wtedy wściekł się i dostałem porządne lanie.

Po paru miesiącach ni stąd, ni zowąd ojciec zjawił się w domu. Brudny, zarośnięty, obdarty zawszony i z pokorą prosił mamę, żeby go przyjęła do domu. Mama zgodziła się. Spał na gołej podłodze. Opowiadał, że wywieźli go gdzieś w Sudety, tam musiał bardzo ciężko pracować, ale tęsknota za nami, za rodziną zmusiła go do tego, że po prostu uciekł i cały miesiąc szedł na piechotę do swojej ojczyzny, do swojego domu, do swojej rodziny. W tym miejscu mama zagroziła mu, że gdyby mu przyszło na myśl krzyknąć lub uderzyć kogoś z nas, to zaraz pójdzie na policję. A tego ojciec się strasznie bał. Ponadto, że o swoje wyżywienie będzie się musiał sam troszczyć, bo ona nie ma zamiaru go karmić. A mama, po wyjeździe ojca do Niemiec, dostała pracę w Azotach, jako pomoc kuchenna w tamtejszej stołówce

przyszkółkowej. Ta praca pozwoliła jej na to, że codziennie przynosiła z pracy bańkę zupy i kawałek chleba i to było naszym jedynym wyżywieniem.

W tym koszmarze przyszło nam żyć do momentu, gdy ojciec zabrał swoją Perełkę i odeszli w siną dal, na zawsze. Była to wczesna wiosna 1941 roku.

Zaraz po tym wydarzeniu, mama znalazła sublokatorskie mieszkanie w Tarnowie, do którego niezwłocznie przeprowadziliśmy się. Ja, mając już embrionalne doświadczenie handlowe, zacząłem zajmować się handlem. Handlowałem wszystkim, czym się tylko dało. Wszystko było do kupienia, wszystko było do sprzedaży. Głównymi artykułami, którymi handlowałem były papierosy i gazety. W papierosy zaopatrywałem się w hurtowni Państwowego Monopolu Tytoniowego w Tarnowie, a po gazety jeździłem do Krakowa i tam prosto z maszyn drukarskich kupowałem odpowiednie do popytu ilości egzemplarzy. Handel, przez całą okupację był moim podstawowym i jedynym zajęciem. Biegając po tarnowskich i krakowskich ulicach, wędrując po okolicznych wsiach, przeciskając się w zatłoczonych pociągach, a w każdych okolicznościach bacznie obserwując, co się wokół mnie dzieje, zdobywałem szlify okupacyjnego życia. Przede wszystkim trzeba było obserwować Niemców, którzy po zaprowadzeniu swojego porządku, po wprowadzeniu swoich zakazów, nakazów, rozporządzeń i cały szereg innych jeszcze obostrzeń, realizowali swoją misję, z jaką tu przybyli. Podstawowym zadaniem było nie dać się złapać w licznie urządzanych łapanek, selekcjach, no i oczywiście przeżyć dzień i całość, i zdrowo wrócić wieczorem do domu. To była podstawa egzystencji tych okrutnych, brutalnych czasów. Ponad to, ja musiałem się jeszcze do tego uczyć, nie w szkole, bo na to nie było czasu, tylko na ulicy, na dworcach, w pociągach. Szkołę podstawową ukończyłem na poziomie drugiej klasy w roku 1940. A to, że było mi zimno, że trzeba było przetrwać spiekotę, że gryzły mnie wszy, które były na porządku dziennym, że był brud, że byłem głodny, to już nie miało większego znaczenia. Najważniejsze było to, że żyjesz.

Wróć tu jednak do poczynań Niemców przede wszystkim w kontekście Żydów.

Tarnów, w 1939 roku liczył 55 tysięcy mieszkańców, ale w tym było 25 tysięcy Żydów, a już pod koniec 1940 roku w Tarnowie było 40 tysięcy Żydów, zganianych do Tarnowa z okolicznych miejscowości.

Już w październiku 1939 wszyscy Żydzi musieli założyć na rękawy białe opaski z naszytą na nich niebieską gwiazdą Dawida. Wszystkie sklepy, warsztaty rzemieślnicze, drzwi mieszkań, w których mieszkali, musiały być oznakowane także taką gwiazdą. Powstała Żydowska Policja Porządkowa, zakazano Żydom wszelkich podróży, zmuszono wszystkich do pracy. To Żydzi kopali rowy, w których zakopywali rozstrzelanych Polaków. Powstał Judenrat, jako żydowska Rada Miasta, a która w rzeczywistości służyła w perfidny i podstępny sposób do ściągania ze społeczności żydowskiej wszelkich kosztowności i wartościowych przedmiotów i mebli. Wysiedlono z bogatych kamienic i centralnych ulic wszystkich zamożnych Żydów osadzając ich w domach biedoty żydowskiej.

W tym czasie, a była to wiosna 1940 roku z tarnowskiego więzienia wywieziono do obozu w Oświęcimiu ponad siedmiuset przedstawicieli polskiej inteligencji, którzy byli pierwszymi ofiarami przekraczającymi bramę tej ludzkiej otchłani XX wieku.

Terror nasilał się z każdym dniem. Rozstrzeliwania stały się tak powszechne, że nie było dnia, aby gdzieś na którejś ulicy, gdzieś na jakimś podwórku, gdzieś w jakimś lesie, czy też w innym miejscu nie zastrzelono kilku, kilkunastu, lub kilkudziesięciu Polaków. Czy Żydów? Powstała Platforma Bractwa Pogrzebowego, składająca się z Żydów. Zadaniem tej grupy było zbieranie zastrzelonych trupów i wywożenie ich na polskie, bądź żydowskie cmentarze, lub też do wykopanych przez Baudinst rowów.

Gdy w czerwcu 1941 roku Niemcy napadły na Związek Radziecki, terror tarnowskich zbirów doszedł do zenitu. Jeden z SS-owskich arcyzbirów, nijaki Grunov, nie zjadł śniadania dopóty, dopóki nie zastrzelił kilkunastu Żydów, bo mu śniadanie nie smakowało. Jeden z nich sprowadził do Tarnowa swoich synów, po to, żeby ćwiczyli się w strzelaniu używając do tego żywych tarcz, którymi były Żydzi.

A ja, jako dziesięcioletni chłopak, na bosaka w lecie a w zimie w drewniakach, w krótkich porciętach, biegałem po tarnowskich ulicach i między pociągami na stacji, którymi jechali na wschód niemieccy żołnierze, wykrzykując- zigaretten! zigaretten! papierosy! papierosy! lub „Goniec Krakowski”! Goniec na jutro! I obserwując wszystko dookoła, wyciągałem wnioski z zachowań przechodniów, z zachowań Niemców. To była moja szkoła, to była moja edukacja, edukacja życia, zawsze mając na uwadze- nie dać się złapać.

Gdzieś w połowie czerwca 1942 roku zauważyłem jakiś szczególny niepokój wśród tych Żydów, którzy jeszcze mogli wychodzić na ulice. Było ich niewielu, ale ich zachowania wietrzyły jakieś widmo tragedii. Ukazały się ogłoszenia o przesiedlaniu Żydów. Co to miało oznaczać nikt nie wiedział. W ogłoszeniach nakazywano jedynie, żeby każda żydowska rodzina, która mieszkała jeszcze poza gettem była przygotowana do przesiedlenia i mogła zabrać ze sobą bagaż o wadze do 10-u kilogramów. Ponadto nie wolno już było wychodzić z mieszkań, tylko czekać na odpowiedni moment, aż przyjedzie po nich odpowiedni transport. Na drugi dzień po wywieszeniu tych ogłoszeń znalazłem się na ulicy Krakowskiej pomiędzy dworcem kolejowym, a kościołem Misjonarzy, po stronie kościoła. Przede mną kroczył patrol SS-manów. W takich wypadkach nie wolno było wyprzedzać takiego patrolu, trzeba była iść za nimi, bo to nigdy nic nie wiadomo. Było ich trzech, na przodzie dowódca patrolu, a za nim, w jednej linii, dwóch pozostałych. Przechodzili koło bramy wjazdowej na zamknięte parterowymi budynkami podwórko. W tym momencie, kiedy patrol był akurat przed samą bramą, z podwórka wyskoczyło żydowskie dziecko, które bawiło się na tym podwórku z innymi jeszcze dziećmi i wpadło wprost pod nogi tego SS-owca, który szedł w drugiej linii. Dziecko upadło, a ten skurwiel, jak gdyby nigdy nic, schylił się, złapał jedną ręką obie nogi dziecka i silnym zamachem uderzył głową dziecka o kamienną odbojnicę, jakie są wbudowywane przy tego rodzaju bramach wjazdowych. Gdy dziecko było w powietrzu zdążyło jeszcze krzyknąć mameeee! I w tym momencie głowa dziecka roztrzaskała się, a struga masy mózgowej rozprysła się na wszystkie strony. A Niemiec, dołączył do kolegi i pomaszerowali dalej. Stałem na moment i patrzyłem na trupa bez głowy, który jeszcze przed paroma sekundami było dzieckiem. W tym wypadku już nie chodzi o to, czy to dziecko było polskie, czy żydowskie, chodzi o to, że jakim złym zwierzęciem trzeba być, żeby w taki właśnie sposób zadać śmierć drugiemu człowiekowi. Już nie szedłem dalej swoim szlakiem, tylko zawróciłem i czym prędzej do domu. Pomimo, że już w tym swoim, jakże krótkim życiu, widziałem tyle trupów, to zdarzenie pamiętam do dzisiaj. Nie mogłem się uspokoić, cały się trząsałem. Nie ze strachu, tylko z widoku rozpadającej się głowy i skutków tego zjawiska. Na drugi dzień wyszedłem na miasto i dowiedziałem się, że wczoraj na tarnowskim rynku odbyła się selekcja Żydów doprowadzonych tu z getta. Selekcja na zdrowych i młodych, zdolnych jeszcze do pracy, na starców mężczyzn i kobiety, na dzieci i na bardzo małe dzieci. Te maleństwa zostały unicestwione tak samo jak wczorajsze Żydziaćko w bramie przy ulicy Krakowskiej. Wszystkie rozbijane o bruk tarnowskiego rynku, lub o ściany okalających rynek

budynków. Cały rynek utonął we krwi. Znowu przed oczami stanął mi obraz wczorajszego dnia, z tym, że to wczorajsze należało pomnożyć razy kilkadziesiąt, albo i więcej. Nie znajduję tu, żadnego oddającego tej tragedii określenia.

Idąc Krakowską do góry zauważyłem, że w stronę Zbylitowskiej Góry, co jakiś czas jadą ciężarowe samochody przykryte plandeką, a na samochodach stłoczeni Żydzi. Skojarzyłem to sobie z treścią ogłoszeń o przesiedleniu, ale szybko zweryfikowałem swoje domysły i coś mnie tknęło, że to może być Buczyzna. Puściłem się biegiem w tamtą stronę, chociaż to dobre cztery kilometry, Ale cóż to dla mnie było wtedy cztery kilometry. Gdy się zbliżałem już do lasu, zwolniłem i zacząłem kombinować, z której strony wejść do tego lasu. Znałem dokładnie wszystkie ścieżki, wszystkie krzaki, wszystkie zarośla, przecież to był teren moich dziecięcych zabaw. Droga wjazdowa do lasu była tylko jedna. Odszedłem na bezpieczną odległość od tego miejsca i ostrożnie, nasłuchując i obserwując uważnie krok za krokiem posuwałem się do miejsca gdzie przed moimi oczami ukazał się wykopany między drzewami głęboki, długi rów. Zauważyłem też kręcących się tam esesmanów. To tu pomyślałem. Skorygowałem jeszcze punkt obserwacji tak, żebym mógł wszystko dokładnie widzieć, ale żeby mój punkt obserwacyjny nie był niczym zagrożony. Nie czekałem długo. Po chwili do lasu wjechał samochód ciężarowy z Żydami i dojechał do małej polanki, skąd dalej już nie można było jechać. Tuż zanim na polanę wjechał samochód osobowy, z którego wysiadło dwóch esesowców w czarnych mundurach. Jednym z nich, jak później wydedukowałem był sam, Grunow, a drugim był jego kierowca. Teraz się zaczęło. Po otwarciu tylnej burty samochodu ciężarowego zaczęli wyskakiwać, bądź spadać przerażeni Żydzi. Opieszałych poganiało stado rozwścieczonych zbirów. Gdy już wszyscy opuścili wnętrze samochodowej budy, wszystkim kazano rozbierać się do naga, a ubrania wrzucać do samochodu. Nad wykopanym, głębokim rowem leżała już gruba, szeroka decha, na którą zaczęli wchodzić poganiani Żydzi. Jeden za drugim, mężczyźni, kobiety, dzieci, nie koniecznie w tej kolejności. Obok kładki, pod okazałym bukiem stał oparty o niego sam Grunow, który z drwiącym uśmiechem na ustach zapraszał przyjaznym gestem, trzymającej w dłoni pistolet ręki sparaliżowanych ze strachu Żydów do wkraczania na kładkę. Gdy ofiara była już w tym miejscu gdzie kat uznawał, że to jest akurat tu, padał strzał i trup wpadał do rowu. Ten strzelający szakał mało, że zabijał, to jeszcze sobie obmyślił, że zabitych Żydów poukłada w rowie tak, jak sardynki w puszcze, jeden przy drugim, równolegle do siebie i to mu się poniekąd udawało. Pewnie wtedy pomyślał, że i tu musi być niemiecki porządek, niemiecki ład. Przygotowane do strzału pistolety Grunow

odbierał od podającego mu kierowcy, który stał za jego plecami. Niektórzy Żydzi tuż przed samym strzałem unosili ręce do góry i z uniesionym wzrokiem wydawali okrzyk „ Szma Israel „ co oznacza „ patrz Izraelu”. I tak pięćdziesiąt istnień ludzkich w ciągu niespełna dziesięciu minut opuściło ten okrutny padół ziemski. Grunov wsiadł do swojego samochodu i wraz z ciężarówką odjechałby skrupulatnie przeszukiwać żydowskie bagaże i ubrania, czy aby nie było ukryte tam złoto i inne kosztowności.

A ja na to wszystko patrzyłem.

A ja miałem wtedy dokładnie dziesięć i pół roku.

Od tego dnia unikałem już tego rodzaju widoków, chociaż nie zawsze się to udawało, no, bo przecież do wymordowania pozostało jeszcze tyle istnień ludzkich.

W tym właśnie dniu i w tym miejscu zostało rozstrzelanych ośmiuset Żydów, a podczas całej tej dziesięciodniowej akcji zostało unicestwionych dwadzieścia tysięcy Żydów. Pozostałe dwadzieścia tysięcy wywieziono do obozu w Bełżcu, bądź zostało rozstrzelanych. Himmlerowskie „rozwiązanie kwestii żydowskiej” w Tarnowie i ziemi tarnowskiej nastąpiło w styczniu 1943 roku.

A ja w dalszym ciągu zajmowałem się swoim handlem.

Gdy Niemcy dostali porządne lanie pod Stalingradem, od razu dało się to odczuć i tutaj w Tarnowie. W społeczeństwo wstąpiła otucha, wstąpiła nadzieja, nastąpił pewien zwrot w zachowaniach. Zostało tylko pytanie, kiedy? Jak długo? Wiosną tego roku w czasopiśmie [tytułu dzisiaj nie pamiętam] wydawanym w tej samej drukarni, co „Goniec Krakowski”, na ostatniej stronie tego czasopisma ukazał się jakiś wiersz. O czym- nieważne, ale pierwsze litery tego wiersza czytane z góry do dołu brzmiały- 'Polacy Sikorski działa.' Dorwałem sto egzemplarzy tego czasopisma i czym prędzej do Tarnowa. Już po drodze dowiedziałem się, jaki ja mam towar. Przecież był to rarytas z jednej strony, a z drugiej strony było to wielkie zagrożenie dla posiadacza takiego pisma. Cenzura odkryła to po wyjściu z drukarni prawie jednej czwartej nakładu. A ja miałem sto egzemplarzy. Od razu zszedłem ze sprzedażą do podziemia. Po parę sztuk wynosiłem z ukrycia i nie określając ceny tej gazety sprzedawałem w zaufanych miejscach, zaufanym ludziom. Samorzutnie otrzymywałem dziesięciokrotne

przebicie ceny nominalnej. Do Tarnowa dostała się tylko ta ilość gazet, którą ja przywiozłem, pozostałe ilości, będące w legalnej dystrybucji zostały skonfiskowane.

Po paru dniach już wieczorem, przyszedł do mnie taki gówniarz z Hitlerjunge, oczywiście w swoim uniformie, kazał żebym zabrał ze sobą wszystkie trefne czasopisma i poszedł z nim. Powiedziałem, że nie mam już żadnego egzemplarza, że wszystko już sprzedałem. Poszedłem. Zaprowadził mnie na ulicę Urszulańską, przy której mieściło się Tarnowskie Gestapo. Obledziały mnie ciarki. Ulicę Urszulańską w Tarnowie wszyscy omijali z daleka. Tutaj, kto wszedł, już stąd nie wychodził. Pomyślałem sobie wtedy, a jednak nie udało się, wpadłem, trudno. Specjalnie się nie bałem, tylko sobie myślałem, że szkoda umierać, gdy się ma jedenaście lat. Zamknęli mnie w bardzo malutkiej celi, w której był przeogromny, gorący i przeogromnie oślepiające światło. Do rana następnego dnia siedziałem na wręcz gorącej posadce i w tym oślepiającym świetle. Cały czas płakałem. Rano, z zapuchniętymi oczami i zupełnie wysuszonym mózgiem, wyprowadzili mnie na przesłuchanie. Kazano mi się położyć na specjalnie skonstruowanej ławce, unieruchomili stopy i zaczęło się. „Czy mam jeszcze gazety, ile ich miałem i komu sprzedałem? Padały pytania. Na wszystkie odpowiadałem, że miałem dwadzieścia egzemplarzy, że wszystkie sprzedałem, że nie wiem, komu, nie znam tych ludzi. I tak w kółko. Za każdym razem otrzymywałem po trzy uderzenia twardym, sprężystym bykowcem w gołe, unieruchomione stopy. I znowu te same pytania, te same odpowiedzi i te same razy bykowcem po gołych stopach. Było tych spektakli kilkanaście. W końcu przesłuchujący mnie zbior doszedł do wniosku, że wszystko to, co mówię jest prawdą i dalsze przesłuchiwanie mnie nie przyniesie żadnych rezultatów. Odepnął jarzma, które unieruchamiały moje stopy i kazał wstać i wynosić się stąd. Gdy stanąłem na nogach od razu upadłem. Nie mogłem na nich stać, taki przeogromny ból, a bolało wszystko, od stóp po sam czubek głowy. Uniósłem się na kolana i na kolanach wyszedłem z budynku. Odszedłem na pewną odległość, usiadłem pod ścianą budynku i płakałem, cały czas płakałem, a w głowie kołatała się myśl- UDAŁO SIĘ.

Jakoś dowlokłem się do domu i padłem na moje wyrko. Przez tydzień czasu nie wychodziłem z domu, nie mogłem, ale w końcu wróciłem do mojej działalności i pomału, pomału doszedłem do siebie I znowu handel. Jeździłem do Krakowa, jeździłem po wsiach, szlifowałem tarnowskie i krakowskie bruki.

Niemcy, w obliczu nieuchronnie nadciągającego frontu Armii Radzieckiej, spuścili nieco ze swojej pewności, ze swojej buty i po cichu zaczęli likwidować swoje urzędy, swoje biura, swoje organizacje. A gdy front wojenny zatrzymał się na Wiśle i Wisłoku, Niemcy zrozumieli, że nic tu po nich i w pośpiechu zaczęli opuszczać okupowany jeszcze Tarnów.

Nadszedł mroźny poranek 17 stycznia 1945 roku.

Poprzedzające dwie noce nie spałem, gdyż bez przerwy były syreny alarmowe, a nad miastem krążyły radzieckie samoloty PO-2 [kukuryżniki] i bombardowały dokładnie wybrane cele. Usytuowana gdzieś w Mościcach niemiecka bateria dział przeciwlotniczych i kilka reflektorów urządzały bajeczne widowisko. Reflektory cesały niebo swoimi świetlnymi smugami, artyleria strzelała świetlistymi pociskami, a piloci robili swoje. Zbombardowali to, co mieli zbombardować i odlatywali do swoich, żaden z nich nie został trafiony.

Wstałem wcześniej rano, wyszedłem na ulicę i stwierdziłem, że jest kompletna cisza. Swoje kroki skierowałem ku centrum miasta. Przechodząc obok magazynów monopolu tytoniowego stwierdziłem, że wrota magazynu są na oścież otwarte i nikogo nigdzie nie ma. Wszedłem do środka, a tu przede mną całe sterty porozbijanych skrzyń z papierosami. Szybko znalazłem gdzieś jakiś jutowy worek i zacząłem ładować do niego papierosy. Tak jak leciało, aby szybko, bo przy takiej robocie wskazany jest pośpiech. Naładowałem do pełna, poupychałem jeszcze kieszenie i trochę za pazuchę i zarzuciwszy worek na plecy wyszedłem na zewnątrz kierując swoje kroki do ulicy Wałowej. Ciężko było, ale jakoś dotarłem do tej Wałowej, stanąłem pod murem i chciałem sobie zapalić któregoś ze zdobycznych papierosów, aż tu z łuku Wałowej, od strony ulicy Lwowskiej wyłoniła się grupa jakichś postaci w białych kombinezonach z przewieszonymi na piersiach ręcznymi karabinami maszynowymi. Szli całą szerokością ulicy. Przeszli obok mnie, nie zwracając w ogóle uwagi na mnie, tylko się rozglądali po oknach budynków, po dachach. Po chwili za nimi, też całą szerokością ulicy wyłoniła się cała chmara żołnierzy. Wtedy zacząłem wyjmować z worka papierosy i rozdawać podchodzącym do mnie żołnierzom. Jedni brali do rąk, inni podstawiali zdjęte z głów hełmy, jeszcze inni nadstawiali poły żołnierskich płaszczy. Gdy już na dnie worka została resztką, któryś z żołdatów wyrwał mi worek z ręki i nawet nie powiedział spasiba.

Stałem jeszcze chwilę i patrzyłem jak wali to mrowie wyzwolicieli w walonkach, w długich szynelach z karabinami na ramieniu i miszokami na plecach. Gdy się już napatrzyłem, skierowałem się już prosto do domu. W domu zrobiłem sobie coś do zjedzenia, zjadłem, wypaliłem papierosa i położyłem się do mojego barłogu. Leżąc, myślałem o tym, co już było poza mną, co się skończyło i że dopiero teraz mogę głośno powiedzieć UDAŁO SIĘ. Usnąłem. A gdy się obudziłem, już była inna rzeczywistość, przez którą trzeba było w dalszym ciągu brnąć w trudzie i mozole dźwigając na barkach bagaż dzieciństwa, jaki mi włożył los. Doświadczenia te wprowadziły mnie w okres dalszych moich dni, które też nie były lekkie, łatwe, ani radosne.

W POSZUKIWANIU LEPSZEGO JUTRA.

No, a jeżeli udało się przetrwać, przeżyć ten okres okrutnej wojny, to dalsze życie będzie już łatwiejsze, tak to sobie myślałem i zacząłem wlewać w siebie strumienie marzeń, nadziei, optymizmu i wiary. Wiosną 1946 roku opuściłem mój rodzinny Tarnów i znalazłem się u mojej babci, repatriantki z kresów wschodnich, w Rakoszycach koło Wrocławia. Tutaj karmiony solidnie, a przede wszystkim codziennie raniutko dużym kubkiem ciepłego, z pianką, prosto od krowy mlekiem, szybko odbudowywałem swoją szkieletową posturę. Wiosną 1947 roku babcia wysłała mnie na poszukiwanie wujka, który też, jako repatriant osiedlił się gdzieś w okolicach Jeleniej Góry. Pojechałem. Gdy wysiadłem z pociągu na stacji Jelenia Góra-Zachodnia, przed moimi oczami ukazał się zasypany śniegiem grzbiet Karkonoszy. Od grzbietu Kowarskiego po samą Halę Szrenicką, całe to pasmo gór, oświetlone słońcem, lśniło urzekającym pięknem i blaskiem. I wtedy to właśnie zakochałem się w tych górach.

Wujka nie znalazłem, wróciłem do babci, ale urokliwy bakcył piękna gór zapadł mi głęboko w serce i umysł, i później zawsze marzyłem o Jeleniej Górze, o Karkonoszach, żeby tam mieszkać, żeby tam pracować, żeby tam żyć. No, ale byłem jeszcze za młody, nie miałem przecież żadnej wiedzy, żadnych kwalifikacji. Żeby samodzielnie stanowić o sobie, o swoim losie.

Po rocznej, swoistej rekonwalescencji u babci, stanąłem w szeregach Ochotniczych Batalionów Odbudowy Warszawy. Z pewnymi wątpliwościami calutkie lato 1947 roku

kilofem i łopatą usuwaliśmy gruzy tego, co kiedyś nazywało się Warszawą. I udało się. Nawet Irena Santor w śpiewanej przez siebie piosence pyta króla Zygmunta, czy widział tak piękną Warszawę jak dziś.



Wczesną jesienią, w nagrodę za włożony wysiłek w odbudowie Warszawy, znalazłem się w Szczecinie, w Szkole Przysposobienia Przemysłowego. Pełny rok intensywnej nauki przedmiotów ogólnych i zawodowych dał mi glejt do ręki, na podstawie, którego już miałem otwarte bramy zakładów przemysłowych. Ale dla mnie było to za mało, chciałem więcej. Moim oczekiwaniom wyszło naprzeciw Gimnazjum Przemysłowe we Wrocławiu. W dalszym

ciągu skoszarowany, w drylu wojskowym, w jednakowych uniformach, dotrwałem do pierwszego półroczu nauki. Marzyłem o Jeleniej Górze, tęskniłem za domem, jaki by on nie był, oby tylko cywilny, tęskniłem za normalnością, za kimś bliskim, który by był przy mnie, z którym mógłbym porozmawiać cywilnym, a nie wojskowym językiem. Tęskniłem za tymi ośnieżonymi górami, za tym krystalicznie czystym powietrzem.

Ze świadectwem pierwszego półroczu przyjechałem do Jeleniej Góry, bo tu wreszcie znalazła swój port moja mama. Jako uczeń stanąłem do pracy przy tokarni w Fabryce Maszyn Papierniczych. Krótka to trwało, bo znowu Polska upomniała się o moje ręce do pracy. W szeregach Służba Polsce znowu wywijałem kilofem i łopata, tym razem na Śląsku. Wiosną 1950 roku, teraz już na dobre, rozpocząłem swoją karierę zawodową od stanowiska gońca w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego w Jeleniej Górze [dzisiejsze, J.P.B.M.] z najniższą stawką, jaka wówczas obowiązywała.

Były to naprawdę grosze. A ja tak bardzo potrzebowałem pieniędzy.

Patrzyłem na kolegów w pracy i zazdrościłem im ich statusu życiowego, rodzinnego, materialnego, a oni byli wyrozumiali i nigdy nie dawali mi odczuć tego, że są kimś lepszym ode mnie, że są na wyższych stanowiskach, że mają nieporównywalnie wyższą wiedzę niż ja. Zawsze byli po prostu kolegami, koleżankami.

Tutaj, w Z.B.M. zaczęło się naprawdę moje życie, życie przez duże Ż. Wszelki wolny czas był zagospodarowywany na różnego rodzaju wycieczki, piesze i rowerowe, poznawanie ciekawych miejsc i miejscowości, no i wycieczki w góry. Zimą i latem, sobotnie popołudnia i niedziele wyganiały nas z domów i kierowały na turystyczne szlaki, by tam poznawać przyrodę, czerpać świeże powietrze, i cieszyć się radością życia. Szukaliśmy śladów polskości tych ziem, wędrując przede wszystkim po ruinach dawnych zamków takich jak m.in. Świny, Bolków, Wleń. Z okazji 850 rocznicy powrotu Ziemi Odzyskanych do Macierzy wbudowaliśmy w skałę Sokolika w Górach Janowickich stosowną tablicę. I ja też tam byłem i tą tablicę wmurowywałem.



Ponieważ były to „tamte” czasy, kiedy nawet tarcze wybierakowe telefonów były zamykane na małe kłódeczki, każda Rada Zakładowa szanującego się zakładu pracy musiała mieć swój Zespół Pieśni i Tańca, to i taki był przy Z.B.M. Oczywiście byłem aktywnym członkiem tego zespołu i występowałem na przeróżnych akademiach z okazji przeróżnych wydarzeń, jako śpiewak i jako tancerz. W pracy też awansowałem i ze stanowiska gońca po przez referenta zaopatrzenia dotarłem do dyspozytora transportu budowlanego. A i pensja wynosiła już 1200 złotych. Już było trochę lepiej, ale daleko za mało, żeby starczało na wszystko. A przecież byłem młody i chciałem żyć podobnie jak inni.



I tak zleciało w tym przedsiębiorstwie pełnych pięć lat, z czego musiałem oddać służbie wojskowej dwa lata, ale wcale sobie tego nie krzywduję, bo uważam, że każdy mężczyzna koniecznie powinien odbyć tą, jakże potrzebną szkołę życia, chociaż dzisiaj wojsko to jest przedszkole, a nie wojsko. A skoro już odbyłem służbę wojskową i inne obowiązki wobec ojczyzny spełniłem z nawiązką, należało pomyśleć o żeniaczce, o założeniu własnej rodziny, o całkowitej samodzielności. No, ale do takich przedsięwzięć potrzebne są pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. One były, tylko trzeba je było wziąć, albo inaczej, zarobić. W sąsiednim zakładzie pracy, w *Celwiskozie*, na niektórych oddziałach płacili naprawdę dobre pieniądze, a skoro tak, to w połowie września 1955 roku podjąłem pracę na jednym z najcięższych oddziałów, Przędzalni, w charakterze ślusarza remontowego maszyn przędzalniczych. Musiałem się przyzwyczaić do wszechobecnego na tym oddziale dwusiarczku węgla [CS₂] i siarkowodoru [H₂S], do specyficznych zapachów, specyficznych zachowań i odmiennych niż dotąd rytmów pracy. Nawet życie cywilne trzeba było podporządkować wymogom dyscypliny miejsca pracy. Ale za to pierwsza wypłata, jaką otrzymałem wyniosła 2450 złotych. A gdy wziąłem te pieniądze do ręki i zbliżyłem je do nosa, okazało się, że one wcale nie śmierdzą *Celwiskozą*, tylko moim potem.

Ożeniłem się, po jakimś czasie zdobyłem piękne, trzypokojowe mieszkanie w centrum miasta, a że śmierdziałem *Celwiskozą*, to już inna sprawa, to była cena, jaką trzeba było płacić za to, żeby start życiowy był udany. Wszystko zaczynało się od zera, od skarpetek po przez ubrania do kompletnego wyposażenia mieszkania. I to pomału, z miesiąca na miesiąc, stawało się widoczne stawało się realne i napawało optymizmem, że dalej będzie lepiej. Byłem aktywny na wszystkich frontach, zarówno w pracy, jak i poza nią. Działające przy *Celwiskozie* Koło PTTK było odskocznią od trudów, wysiłków i zmagień, jakie wymagała sama praca. Przychyłność dyrekcji zakładu, jak i zwierzchnich, wszelkich władz, pozwalały na to, aby ta organizacja rozwijała się prężnie i niosła sobą poprzez swoich członków sposoby wypoczynku, rekreacji i racjonalnego wykorzystywania wolnego czasu nie tylko członków organizacji, ale też całej załogi zakładu. Powstawały liczne sekcje tej organizacji, które ściągały do swoich szeregów miłośników różnych dyscyplin szeroko pojętej turystyki, takie jak m.in. turystyka górską, turystyka wodna, turystyka motorowa, czy autokarowa. Trudno mi dzisiaj powiedzieć ile, ale liczne wycieczki jednodniowe i całe multum rajdów wszelakiego rodzaju przyczyniały się do tego, że zwiedzaliśmy najbardziej ciekawe i najbardziej urokliwe miejsca naszego kraju, czy to latem, czy zimą, każda pora roku była dobra. Sudety, a przede

wszystkim nasze Karkonosze, Izery, Beskidy, Tatry, Karpaty, Góry Świętokrzyskie, Bieszczady, Mazury, liczne spływy kajakami po polskich rzekach. Było tego setki. Oczywiście brałem w nich udział, bo to na tych wycieczkach i na tych rajdach regenerowałem swoje zdrowie, które zabierała chemia tego, skądinąd uciążliwego zakładu pracy. A kto pamięta dzisiaj mały domek schowany w gąszczu lasów pomiędzy Przełęczą Karkonoską a Wielkim Szyszakiem, w którym znajdowało się piętrowe łóżko, kawałek stołu i piec, w którym zziębnięty turysta mógł rozpalić ogień leżącym przed piecem porąbanym drewnem, a na łóżku znajdowała się turystyczna pościel, a były to koce i jakaś poduszka, a to wszystko było otwarte w dzień i w nocy i nikt tego nigdy nie ruszył. Warunkiem korzystania z tego schronienia było to, że korzystający z tej noclegowni musiał ją zostawić w takim stanie, w jakim ją zastał, posprzątane i zapasem drewna przy piecu. A kto pamięta schronisko Samotnia z wiszącymi pod sufitem dziesiątkami czubów połamanych nart, albo schronisko na Stogu Izerskim, gdzie jedynym oświetleniem była lampa naftowa. Ileż to miało uroku w sobie, jakie to było romantyczne i uspokajające. I to czyste, krystaliczne powietrze. A te liczne przygody na szlakach, choćby i ta gdzie mało brakowało, a uczestniczka zimowego rajdu w Beskidach, gdzie przy podejściu z Przełęczy Salmopolskiej na Baranią Górę byłaby zamarzła na kość. To, że tak się nie stało, zawdzięczać może tylko śp. Kotkowi. A te znajomości, te przyjaźnie, jakie powstawały na tych wycieczkach, spływach, rajdach, na trwale się spajały i tworzyły przyjazną atmosferę tego liczego gremium. Na wszystkich tego rodzaju imprezach wszyscy byli na Ty. Nikt nigdy nie nadużywał tego spoufalenia na innym gruncie. Niezależnie od wykształcenia, czy zajmowanego stanowiska w zakładzie pracy, wszyscy byli równi, a gdy powstała sytuacja, że trzeba było wziąć się do ciężkiej roboty, to nikt się nie zasłaniał swoim statusem naukowym czy swoim stanowiskiem w pracy, tylko stawał do roboty na równi z innymi.



Tak? A co z pracą?

W pracy byłem w dalszym ciągu ślusarzem i gdzie tylko było można podnosiłem swoje kwalifikacje, swoje umiejętności, uczęszczałem na liczne kursy zawodowe. Po paru latach pracy na Przędzalni, przeszedłem na inne oddziały, aby rozszerzać swoją wiedzę. Trzeba było pomyśleć o nauce, bo być całe życie ślusarzem, [choć nisko chylę głowę przed każdym robotnikiem fizycznym], to mi nie wystarczało. Jako ekstern, stanąłem do matury. Rok czasu pochłonęło mi przygotowanie się do tego egzaminu. Pojechałem do Wrocławia i po powrocie przywiozłem świadectwo maturalne. Skoro to się udało, to idąc za ciosem rozpocząłem naukę w Technikum Mechanicznym w Jeleniej Górze. Gdy po dwóch latach nauki przyniosłem dyplom technika mechanika, akcje moje natychmiast poszły w górę. Awansowałem na mistrza, następnie na starszego mistrza, a w końcu zostałem zastępcą kierownika Działu Montażu w Samodzielnym Oddziale Wykonawstwa Inwestycyjnego. Tutaj uzupełniałem swoją wiedzę zdobytą w szkole przez praktykę, jaką mi dostarczali moi podwładni świetni ślusarze, spawacze, monterzy. Tutaj pogłębiałem umiejętności organizacji pracy, odpowiedzialności za podejmowane samodzielnie decyzje, tutaj uczyłem się pokonywania trudnych problemów technicznych i organizacyjnych. Tutaj spotkałem jedyne w swoim życiu człowieka, który stał się moim przyjacielem i to przez duże P. A był nim mój szef. Wszyscy go nazywali Tato i ja też. Dla mnie był on naprawdę ojcem. Zwierzałem mu się ze wszystkiego, z całego mojego życia, ze wszystkich problemów, jakie miałem w swoim życiu, nawet z takich spraw jak życie

czysto osobiste, intymne. To zwierzanie przynosiło mi ulgę. Lecz w tej materii niewiele mógł mi pomóc. Wyrażał tylko słowa współczucia i napawał otuchą nadzieją i optymizmem.

I stało się. Latem 1969 roku zostałem eksmitowany z mojego jakże pięknego, a zarazem jakże zimnego mieszkania i musiałem szukać nowej przystani życiowej, w której mógłbym rozpocząć wszystko od nowa, od zera. Czternaście lat pracy, wysiłku, wyrzeczeń, oddania i miłości utonęło w oceanie słowa NIE.

Znalazłem, szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że dostałem pracę i mieszkanie, co prawda jedną trzecią tej powierzchni, jaką miałem dotychczas, ale wyboru nie miałem. Do dzisiaj mieszkam w swojej, jak to niektórzy nazywają, dziupli i jest mi dobrze. I znowu wszystko od zera, bo wszystko to, co za te czternaście lat zdobyłem zostało tam, w Jeleniej Górze. Tutaj, w Szklarskiej Porębie mam świeże powietrze, spokój, ciszę i piękny widok na moje szczyty Karkonoszy, które kiedyś w 1946 roku pokochałem.

W nowej pracy zostałem przyjęty z dużą rezerwą i rosnącą z dnia na dzień zawiścią. Jednak tym się nie przejmowałem, miałem za sobą naczelnego, który okazał się być również wyrozumiałym człowiekiem i mądrym szefem. Parę spektakularnych dokonań na samym początku mojej pracy spowodował, że u szefa zyskałem pełne zaufanie, a u pozostałej części załogi, jeżeli nie zupełnie zimną obojętność, to wręcz rosnącą z dnia na dzień zawiścią, która powstawała na tle tego, że ja potrafiłem dokonać tego, czego inni nie mogli, ale to mi zwisało, zawsze robiłem swoje. Ponieważ w moim profilu pracy znajdowały się elementy branży budowlanej, postanowiłem dołożyć do już mającego tytułu technika mechanika jeszcze jeden, technika budowlanego. Ukończyłem Technikum Budowlane w Jeleniej Górze, zdobyłem uprawnienia budowlane i teraz już byłem na topie. To była dopiero zawiść. Przeżyłem. Wylizałem się z ran, jakie mi zadali różni ludzie mający się za bogów i dzisiaj, choć pozostał żal za przeżytym życiem, choć cierpienia, jakich nie szczędził mi los pozostawiły trwałe ślady, to mogę powiedzieć jedno – Udało się. Jeżeli do tego dodam, że gdy tylko osiadłem w Szklarskiej Porębie odczułem brak wędrówek po górach. Ponieważ w tym zakładzie pracy nie było żadnej organizacji turystycznych, jedynie PZPR, a to mnie wcale nie interesowało, zaangażowałem się w działalność sportową, nie, jako zawodnik, lecz działalność organizacyjno-sędziowską. Przeszedłem stosowne kursy, które mi dały uprawnienia do prowadzenia biur zawodów oraz sędziowskie, w zimowych konkurencjach sportowych. Liczne, bardzo liczne imprezy sportowe, jakie się odbywały na stokach Karkonoszy i nie tylko,

pozwalają mi na bezpośrednie obcowanie z moimi górami. Ileż wspomnień, ileż wrażeń z tamtych lat, na trwale zapisało się w mojej pamięci, a gdy dodam do tego obraz, jaki mi się przedstawia, gdy z okna mojego mieszkania widzę szczyty Karkonoszy, gdy od listopada do późnej wiosny przykryte są białą pierzyną śniegu, gdy późną wiosną zalegające pod szczytami ciemne lasy świerkowe upstrzone są soczystą, jasną zielenią liści drzew, które jesienią przeobrażają się w jakże przepiękną mozaikę kolorów od żółci po ciemny brąz, to wtedy rodzi się marzenie, aby wtedy, gdy nadejdzie już kres życia, spopielone moje ciało rozsypane zostało właśnie po tych szczytach, po tych lasach, po Karkonoszach. A ileż impresji niesie obraz całej Kotliny Jeleniogórskiej widzianej ze skały nad Zakrętem Śmierci w Szklarskiej Porębie, które to miejsce stanowi początek Pogórza Izerskiego otaczającego od zachodu ową Kotlinę Jeleniogórską. Od północy widać Góry Kaczawskie, od wschodu Rudawy Janowickie z jej pięknymi skałami Sokolika i Krzyżnej, które wyglądają jak jędrne piersi młodej dziewczyny, a od południa całą kotlinę zamyka pasmo gór Karkonoszy z ich licznymi szczytami. W dole, jak na dłoni, widać całą Jelenią Górę, a wokół niej liczne inne miejscowości. Ten widok naprawdę jest urzekający. I chyba nigdzie indziej nie spotkałem tyle uroków krajobrazu, co właśnie tutaj na Ziemi Jeleniogórskiej. Chociaż zwiedziłem pół Europy i widziałem różne zakątki, to nasza kotlina jest dla mnie najpiękniejsza, bo wszystko to, co się kocha zawsze pozostanie najpiękniejsze. A te sześćdziesiąt lat. Które tu przeżyłem, niech będą świadectwem tego, że jestem stały w uczuciach, zwłaszcza do miejsc i krajobrazów.

Teraz, gdy aktywność życiowa odeszła już w niebyt, należy nie pozwolić na to, by kurzem mijającego czasu zostały zasypane wspomnienia o tamtych dniach, więc te najbardziej ważne zostały zapisane na niniejszych kartkach. Niech one zaowocują w umysłach następnych pokoleń.

A czy to życie udało się?

- Tak, - UDAŁO SIĘ.